

Australia - odcinek 4. Wyjazd pod Równik

Postanowiłam wyjechać z Sydney, aby chociaż trochę poznać kontynent. W Strathfield, niedaleko naszego domu, odnalazłam biuro podróży, w którym panie mówią po polsku. Poprosiłam je o ułożenie mi takiego programu, abym mogła poznać co ciekawsze zakątki Australii. Zabrałyśmy się za przeglądanie katalogów ofert, naradziłyśmy się, oceeniłam koszty i wkrótce miałam już gotowy i zapłacony projekt:

1. Morze Koralowe - Rify,
2. Rain Forest - Deszczowy Las - Kuranda,
3. Tjapukai - wioska Aborygenów - obrzędy ludowe,
4. Busz - fauna i flora na Antypodach.



Najpierw jednak bardzo zaskoczyła mnie bardzo istotna informacja pani z biura. Otóż okazało się, że nie zabiorze mnie na te wycieczki jakiś autokar z Sydney, lecz będę musiała sama dolecieć około 3 tys. km na północ Australii, do Cairns. Dopiero z bazy w Cairns rozpoczynały się te eskapady. Sądziłam, że organizator, przejmie opiekę nad uczestnikami już w Sydney. Dopiero kiedy podpisałam czek i spytałam dla formalności, gdzie będzie zbiórka, pani odrzekła: ZBIÓRKA JEST W CAIRNS !! Ładne kwiatki. To prawie na drugim końcu Australii, jak z Polski do Hiszpanii. Taka perspektywa nie była za miłą.

Wycofać się już nie chciałam. Spakowałam rzeczy i udałam się na lotnisko. Arek mógł mnie odprowadzić tylko do głównego wejścia terminalu. Z odprawą i resztą spraw musiałam radzić sobie sama. Z nieznaną języka nie było to proste. Wcześniejsze moje zagraniczne wyjazdy były komfortowe. Kupowałam ofertę biura turystycznego w moim mieście i jedynym moim zadaniem było dotrzeć do lotniska w Balicach. Teraz stanęłam przed trudnym egzaminem mojej zaradności i samodzielności.

Terminal krajowy w Sydney.



Przemierzałam halę, wpatrywałam w dziesiątki cyferek na monitorach i szukałam wśród nich namiarów na mój gejt. Odwrotu nie miałam. Od Annasza do Kajfasza, pokazując bilet napotkanym osobom trafiłam w końcu do punktu mojej odprawy. Komunikaty w głośnikach, cały czas podawały bieżące informacje o lotach, o zmianach gejtu, o opóźnieniach, ale dla mnie był to jeden wielki potok słów absolutnie niezrozumiałych. Samoloty startowały co kilka minut i nie zawsze to, co aktualnie było napisane na bilecie, mogło pokrywać się ze stanem faktycznym. Ale podżyłam strachu. W końcu jakimś cudem znalazłam się we właściwym samolocie i po kilku godzinach byłam już daleko na północy Australii na wysokości jednego równoleżnika przed równikiem czyli w mieście Cairns.

Z czasem, czyli za dwa lata, okaże się, że dobrze się stało, że pewnych rzeczy teraz nie byłam świadoma. Bo pewnie bym tej oferty biura podróży nie przyjęła i co pokazała moja przyszłość nigdy nie miałabym okazji, zweryfikować swoich możliwości, aby zmierzyć się z o wiele trudniejszymi sytuacjami. Czasem lepiej jest nie wiedzieć co nas kiedyś czeka. Nie jesteśmy wtedy uprzedzeni, a czas pokazuje, że całkiem dobrze sobie radzimy.

Lotnisko w Cairns.



Kiedy z perspektywy czasu wspominam tę podróż, wszystko wydaje mi się takie banalne. Jednakże wtedy, kiedy tu leciałam, miałam bardzo mieszane uczucia, czy moja psychika ten plan, który teraz przede mną udźwignie. Czy poradzę sobie z całym spektrum nowych sytuacji. Był to dla mnie egzamin zaradności i samodzielności.

„Nawet tysięczmilowa podróż, zaczyna się od jednego kroku” - Laozi.

Na lotnisku, wedle ustalonej instrukcji, miałam odnaleźć jakiś turystyczny aparat telefoniczny, z którego za darmo miałam połączyć się z hotelem i przekazać pani w recepcji, aby mnie odebrali z lotniska, transfer był w cenie. Jednakże za chiny ludowe nie mogłam tego aparatu znaleźć. Podeszłam więc do nieznanego, ale sympatycznie wyglądającego pana, pokazałam mu kartkę z nazwą hotelu, numerem telefonu i proszącym spojrzeniem oczekiwałam, że on znajdzie i zadzwoni za mnie: Sorry, my english ist zero - mówiąc to patrzyłam mu prosto w oczy i czekałam na dalszy rozwój wypadków. Jeśli powiesz rozmówcy, że Twój angielski jest słaby, to zaczyna do Ciebie głośniej mówić. Jeśli zaś powiesz, że jest na poziomie zerowym, to zaczyna uruchamiać wszystkie szare komórki, aby Ci w jakiś sposób pomóc. To tak mniej więcej działa.

Pan zachował się jak gentleman, zamówił transfer z hotelu i po niespełna godzinie leżałam już sobie przy hotelowym basenie i dziękowałam Bogu, że tak szczęśliwie dotarłam do celu. Ucichły emocje, odetchnęłam z ulgą:)



Resztę dnia przeznaczyłam na rekonesans po Cairns. Miasto liczy ok. 130 tys. mieszkańców i przyciąga turystów ze względu na dogodną lokalizację portu lotniczego i największą na świecie rafę koralową.



Kasyno.



Kwitnący fikus.



Poprosiłam panią w recepcji, zgodnie z instrukcją, aby powiadomiła przewodnika, że jestem już na miejscu i jutro startuję z nim na wycieczkę. To akurat nie było trudne, tekst miałam napisany fonetycznie jeszcze w biurze podróży.

Pogoda w bliskości równika była piękna, słoneczna, co mnie wprawiało w doskonały nastrój. Już dość miałam deszczu i zacinającego w Sydney mroźnego wiatru.

Procedura moich wypraw była taka, że rano bus, jeep lub autokar, w zależności od liczby zapisanych osób, wraz z przewodnikiem zabierał spod różnych hoteli poszczególnych uczestników wycieczki, wiozł nas w konkretne miejsce i tam realizowany był program. Wyjeżdżaliśmy zawsze wczesnym rankiem, a wracaliśmy późnym wieczorem.

Przewodnik był anglojęzyczny. Wielu cennych informacji, które nam podawał, nie rozumiałam. Zdecydowanie muszę ostro wziąć się za angielski.

Tak więc poznawałam ten nowy dla mnie świat przede wszystkim oczyma i sercem.

Wielka Rafa Koralowa

O świcie wyruszamy autokarem do oddalonego o 64 km ekskluzywnego Portu Douglas. Ciepło, słonecznie, przyjemnie. Prawie cały czas pojedziemy wzdłuż oceanicznego wybrzeża.





Port Douglas. Blichtru dodają mu okoliczne wille i zakotwiczone jachty miejscowego establiszmentu.

Z portu odpłyniemy wielkim katamaranem kilkadziesiąt km na pełne morze.









Na pokładzie czas płynie przyjemnie. Kelnerzy serwują nam rozmaite potrawy, zakąski i napoje. Katamaran rozbryzguje toń Morza Koralowego i szybko płynie do celu.

Po niespełna dwóch godzinach docieramy do zakotwiczonej platformy. To kres naszego rejsu. Tu zaniemługo zejdziemy do specjalnej podwodnej łodzi i w głębi morza będziemy podziwiać zaczarowany świat wielobarwnych raf.

Platforma, kto nie ma ochoty na łódź podwodną może zostać tutaj.



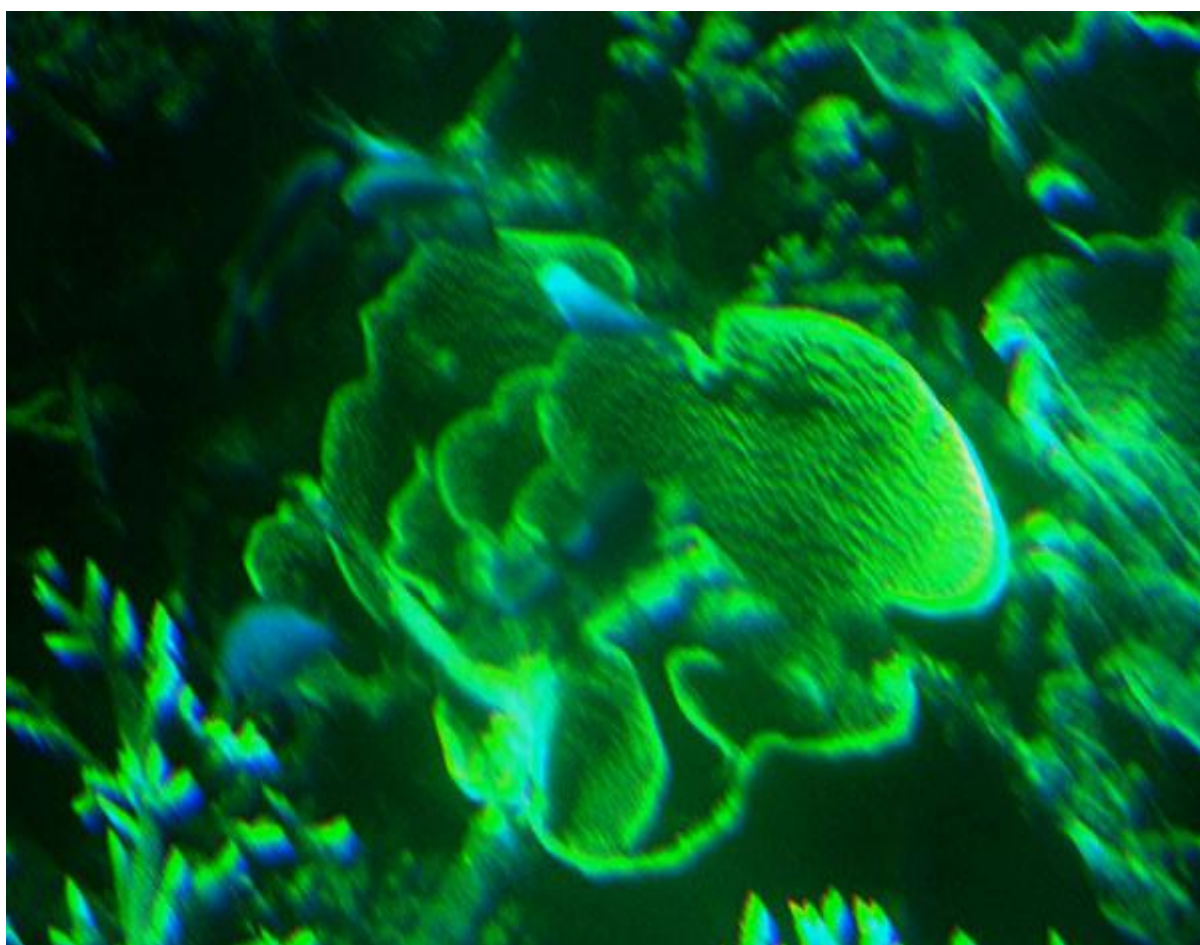
Jesteśmy w centrum jaśniejących na morzu pałacy koralowców.



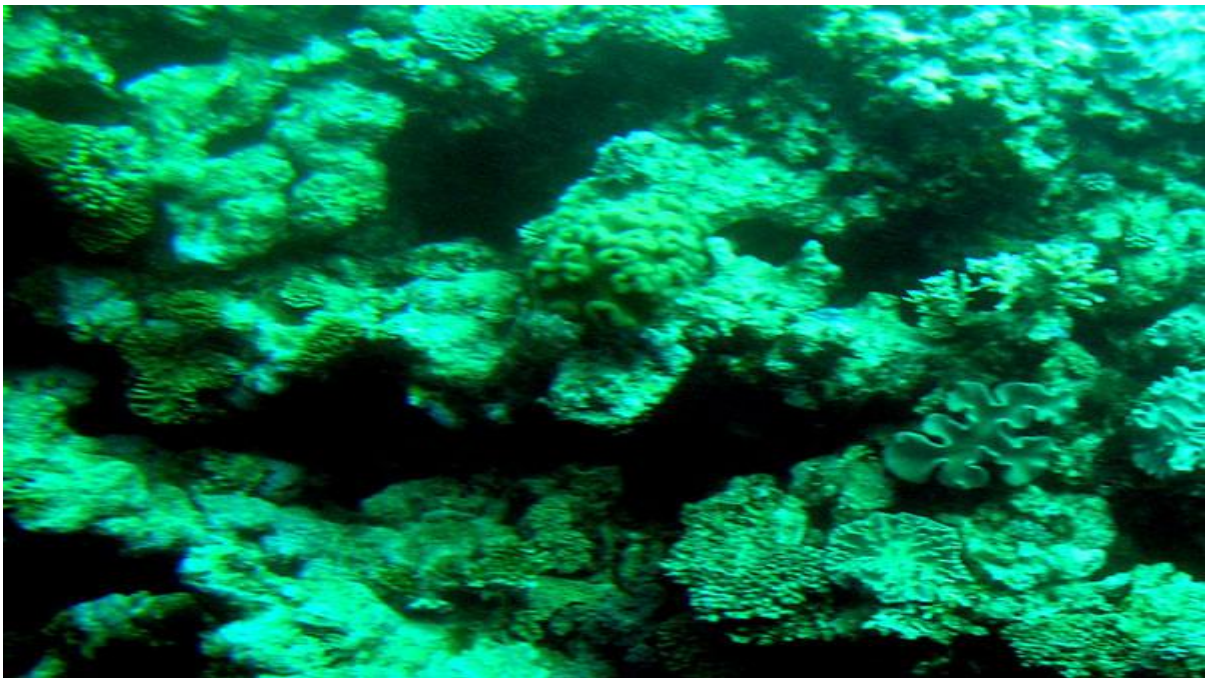
Dla odważnych, krótki kurs nurkowania i można pod czujnym okiem instruktora, przyglądać się rafom z bliska. Ja nie czuję się na siłach więc popatrzę na koralowce z bezpiecznej łodzi podwodnej.



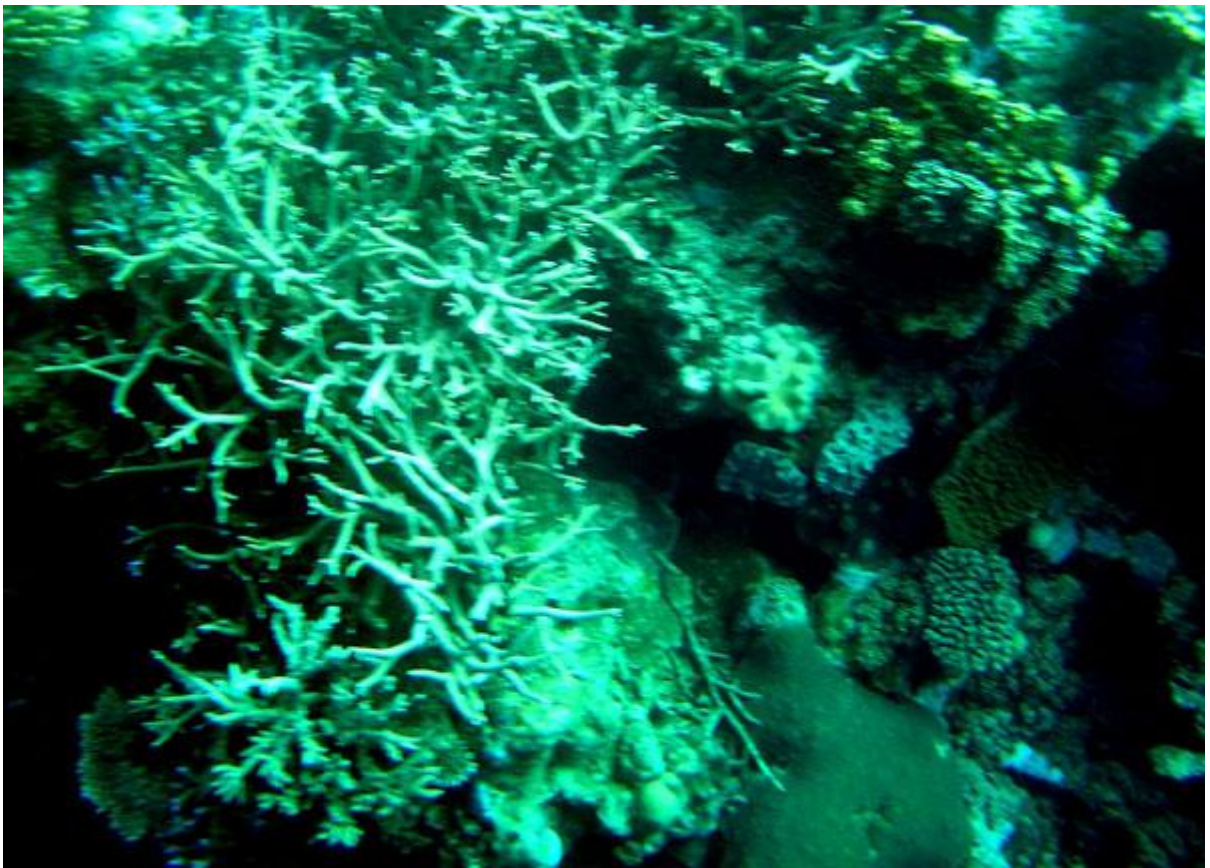
To właśnie to oszklone urządzenie. Opada kilkanaście metrów w głąb morza i można siedząc w nim podziwiać feerię wielobarwnych raf. Czujesz się jak w baśni z 1001 nocy.

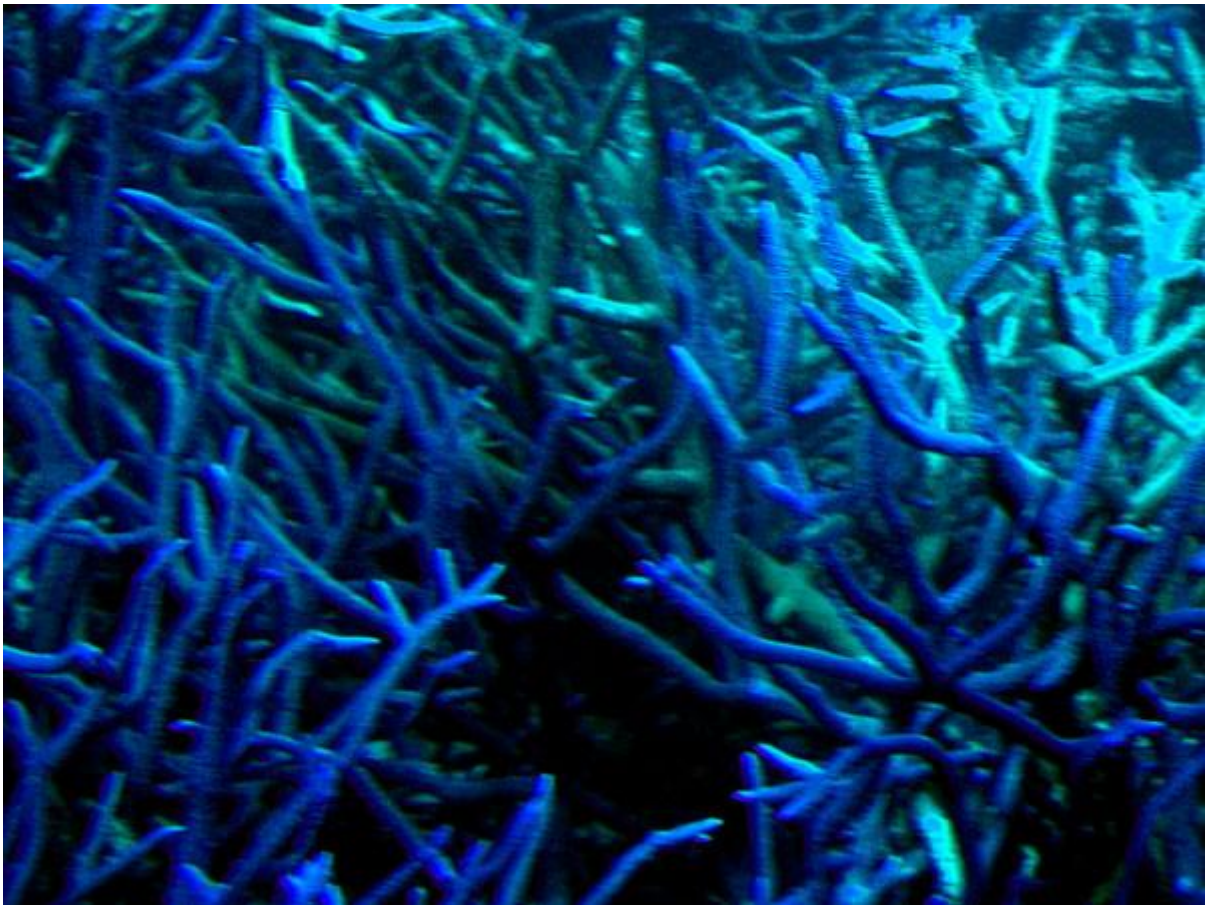
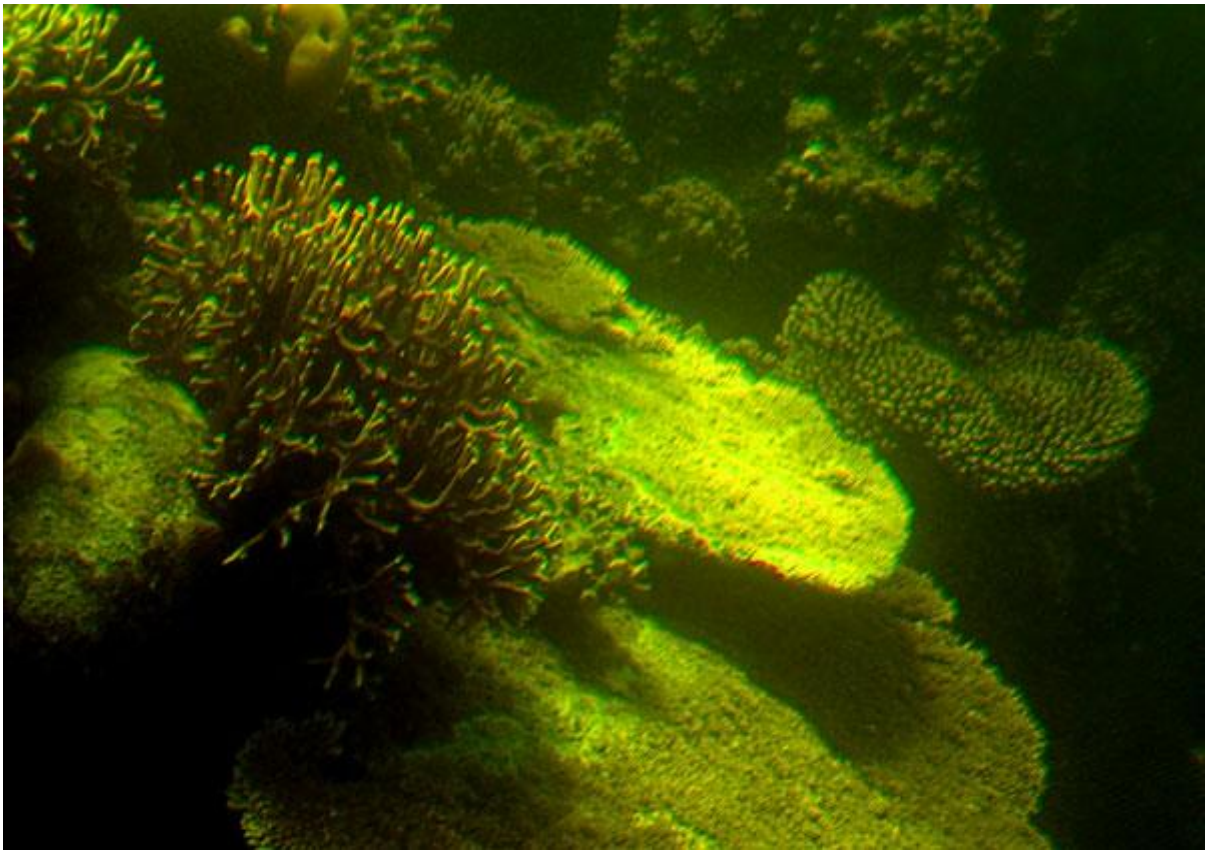


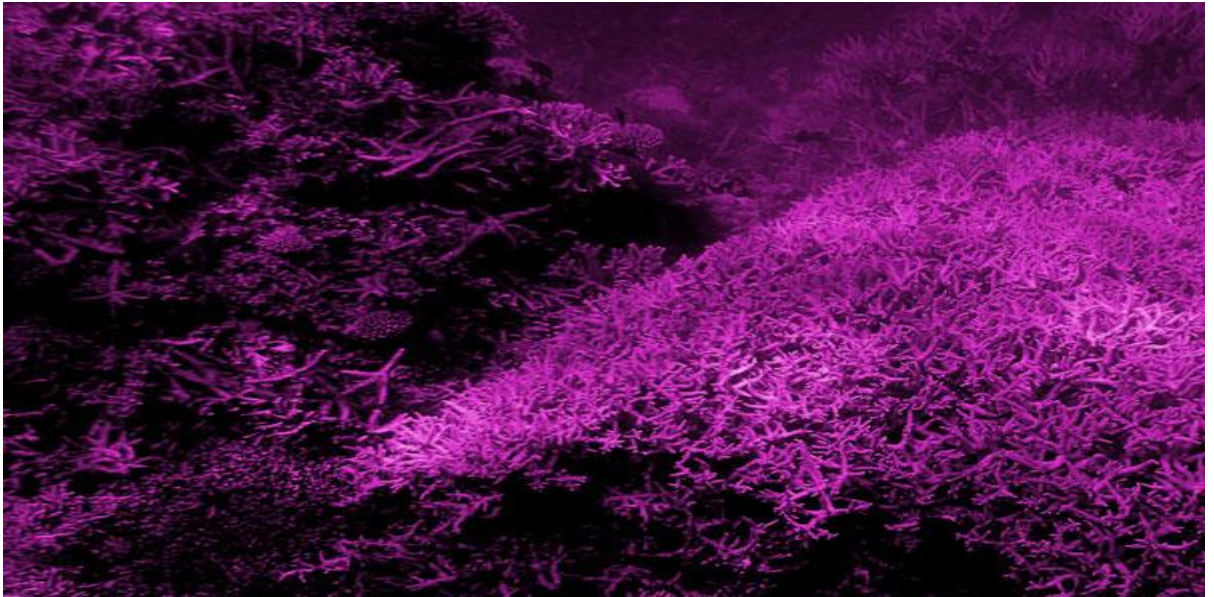
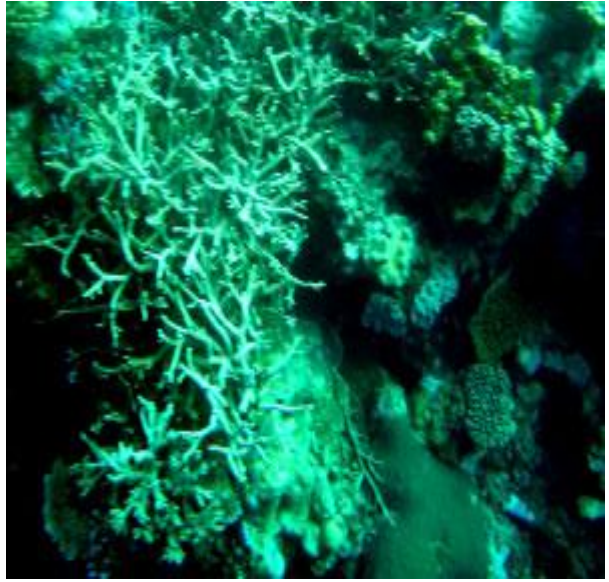
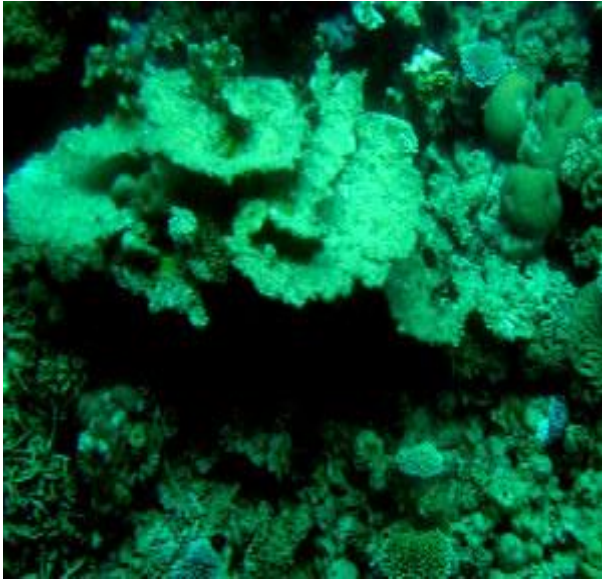
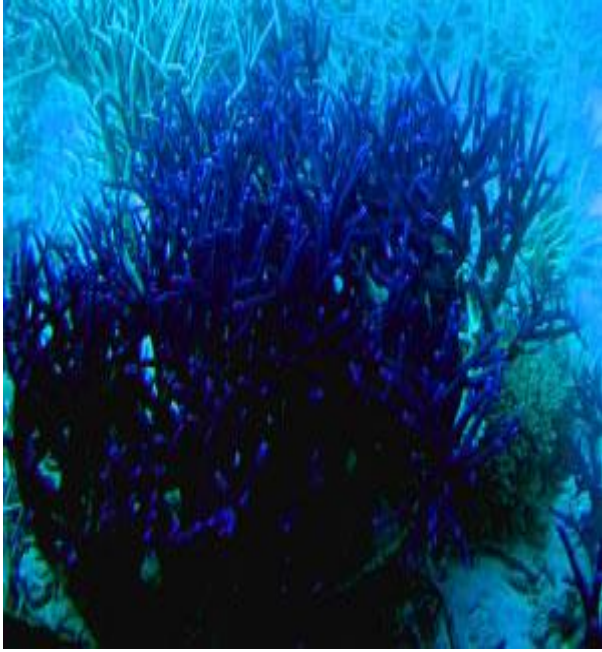
Mój zachwyty towarzyszy zadziwieniu, że nieokiełznana natura potrafiła stworzyć takie cuda. Bogactwo podwodnej zieleni przeplacone błękitem gąbczastych pałaców, w których mieszkają wielkie żółwie i wielobarwne ryby. A na dnie bielutki jak mąka piasek. Wielka Rafa Koralowa jako park morski, objęta jest ochroną i wpisana na listę światowego dziedzictwa kulturowego. Jej powierzchnia wynosi 346 000 km.kw. Żyje tu ponad 2 tysiące gatunków ryb, 4 tysiące mięczaków, 400 gatunków koralowców i 500 gatunków wodorostów. Obszar Rasy rozprzestrzenia się na szerokości od 2 do 150 km, a jej grubość wynosi 500 metrów. Widoczna jest nawet z kosmosu jako biała smuga na morskim rozlewisku.

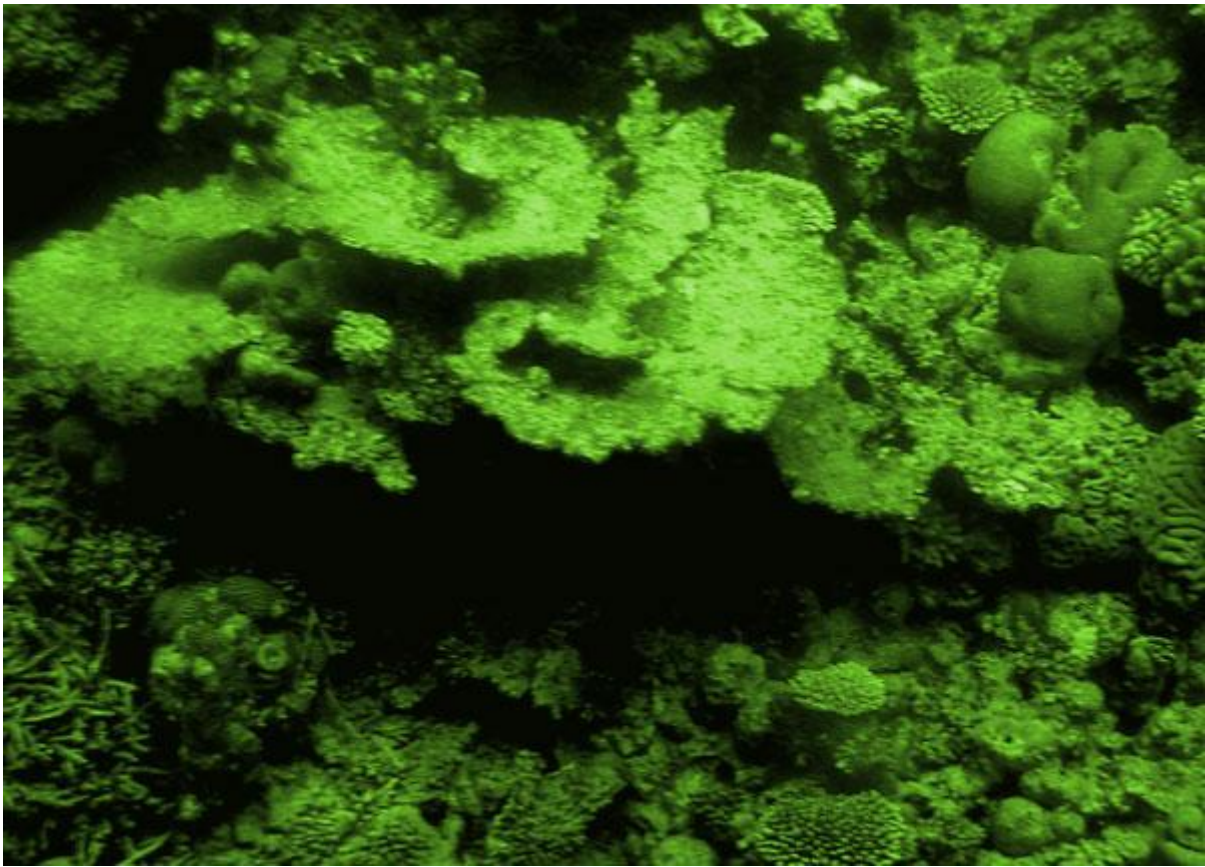




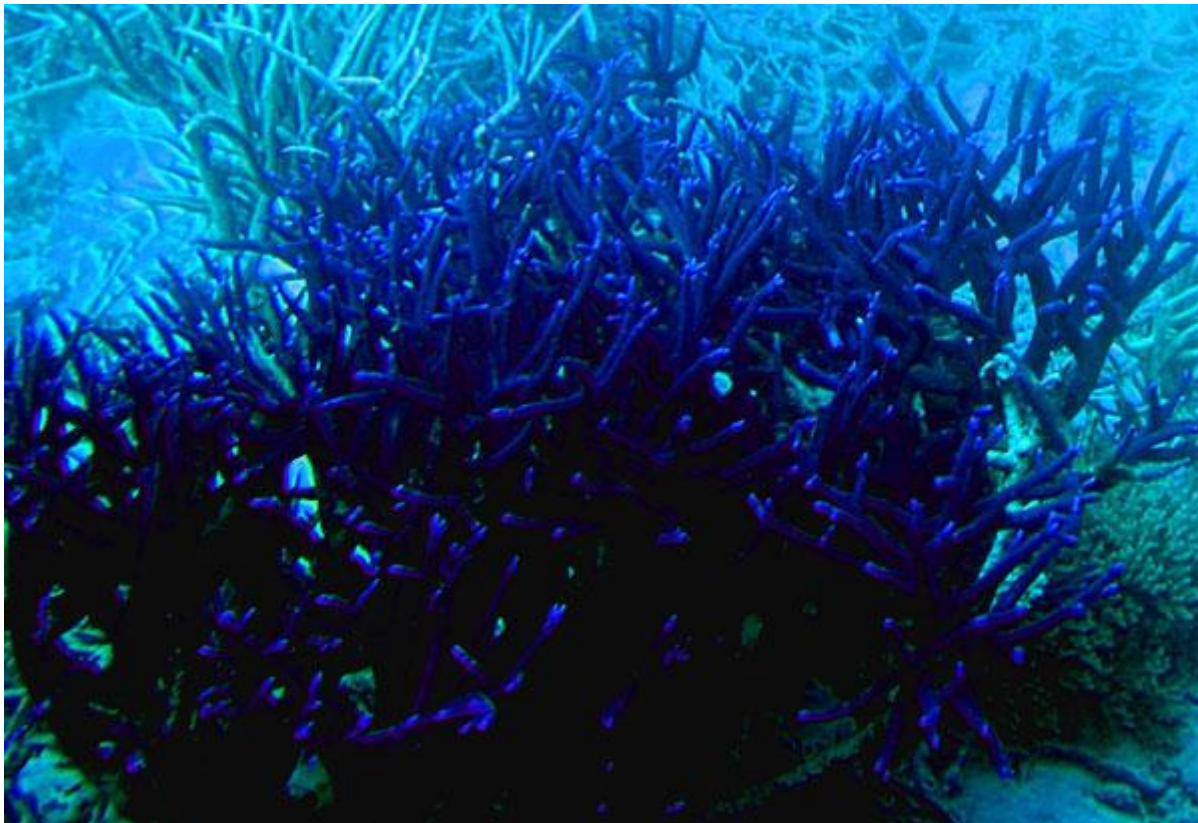








Przeżyłam tu bajecznie ekscytujący czas kontaktu z dziką naturą,



Nasz katamaran przycumowany do platformy umożliwił przemieszczanie się to tu, to tam. Można było coś przekąsić, na chwilę wystawić twarz na słońce, a potem znowu wejść do podwodnej łodzi i obserwować rafy.

Turyści pływali, nurkowali, rozkoszowali się widokiem morza i koralowców, rozprawiali na różne tematy, słuchali muzyki, nawiązały się nowe znajomości.

Do mnie przysiadła się starsza pani, wkrótce dowiedziałam się, że przyleciała tu z Londynu. Miała anielską cierpliwość w rozumieniu mojego improwowanego angielskiego. Było w niej tyle życzliwości i ciepła, że kilkanaście wyrazów jakie znam, układałam w różne kompilacje chcąc z uporem godnym podziwu wyrazić swoje emocje wywołane pięknem raf.

Ta pani była na Morzu Koralowym już któryś raz. Wiedziała i podpowiadała mi, co jest w bufecie najsmaczniejsze, gdzie sobie najwygodniej usiąść, aby mieć najlepszy widok na rafy. Mam szczęście do ludzi. Wygrzewaliśmy się na słońku i zjadałyśmy pychotkami. Spędziłyśmy razem kilka godzin.

Późnym popołudniem podnosimy kotwicę katamaranu i płyniemy z powrotem do portu Douglas.

Wiozę ze sobą worek wrażeń.

Platforma wkrótce zniknie z pola widzenia. Zaczeka na kolejnych turystów, a my cała naprzód.



Po przybyciu do portu witani jesteśmy przez hostessy.



Jeszcze chwila na spacer po porcie i wkrótce wsiadamy w nasz autokar i udajemy się z powrotem do Cairns.

Po drodze kłaniają nam się soczyste, zadbane palmy.



Po drodze mijamy sąsiednie miasteczka.



Wieczorem kończy się moja pierwsza wyjazdowa przygoda. Z daleka od Małgosi, Arka i Sydney.



Zachowam w pamięci piękne obrazy Wielkiej Rafy Koralowej, w której żyje ogromne bogactwo wodnego świata.

Jutro zaproszę Cię do Rain Forest czyli deszczowego lasu i Kurandy. Zobaczysz także folklorystycznych Aborygenów.

Pozdrawiam Cię serdecznie.

Zielona Gałązka